

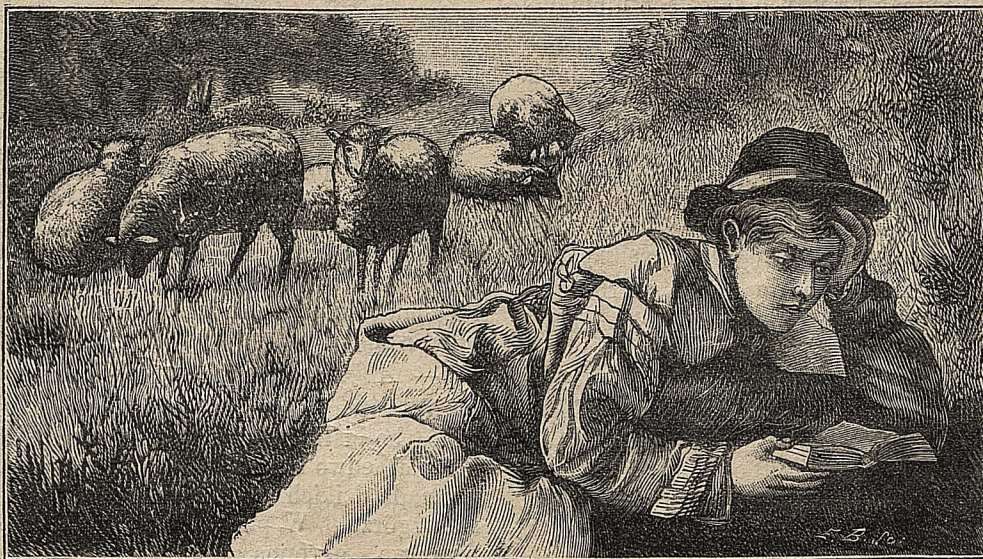


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Piotr Anich.

KSIEGA PAMIĘTYCH CZYNÓW.

Zamiłowanie do nauki nieraz objawia się z wielką siłą u ludzi, którzy od dzieciństwa zupełnie czém inném się zajmują i z wielką trudnością zdobywać muszą wiadomości naukowe. A jakże często z drugiej strony młodzież, której nie brak ani ułatwienia, ani pomocy, zaniedbuje się w naukach przez lenistwo i z musu jedynie się uczy.

W Tyrolu żył w XVIII wieku młody wieśniak, nazwiskiem Piotr Anich, który pasał owce w polu, a przebywając czasem z niemi do późna w noc pod gołym niebem, z nadzwyczajnym zajęciem wpatrywał się w gwiazdy. Ponieważ umiał czytać, więc dowiedział się z książek, że to nie są punkciki świecące, lecz kule ogromne, krążące w przestrzeniach wszechświata, a najgorętszym jego pragnieniem było poznać lepiej i dokładniej naukę astronomii, marzył o tém

nieustannie, pilnując swoich owieczek i pracując przy gospodarstwie wiejskiem.

Piotr Anich miał już lat dwadzieścia ośm, gdy raz napotkał ojca Weinharta Jezuitę, profesora matematyki w Oetingen i przystępując do niego śmiało, zapytał, czy to prawda, że on śledzi bieg ciał niebieskich i naucza o tém młodzież w uniwersytecie.

— Tak jest rzeczywiście — odpowiedział kapłan zdziwiony — ale z jakiegoż powodu mię o to pytasz?

— Bo ja od dzieciństwa nie miałem większej przyjemności, jak patrzeć na gwiazdy — odrzekł młodzieniec — i bardzobym chciał dowiedzieć się o nich wszystkiego, co ludzie uczeni wiedzą.

Ojciec Weinhart poznał odrazu, że ma do czynienia z człowiekiem niepospolitych zdolności, i chętnie podjął się dawać mu lekcyje, a Piotr Anich, który w dni powszednie nie miał czasu na naukę, niedziele i święta przepędzał u swojego nauczyciela. Uczył się z nadzwyczajnym zapałem i gorliwością, wkrótce też nabył wielkiej biegłości w naukach matematycznych i naprawdę mógł rozumieć naukę astronomii. We cztery lata zrobił własnoręcznie globus nieba, tak dokładny i doskonały, że go umieszczono w muzeum akademickiém i do wykładów używano.

Zacny jego nauczyciel, ojciec Weinhart, chwalać tę jego robotę, zaczął ubolewać nad tém, że Piotr nie umie pięknie pisać, i z tego powodu nie może robić równie doskonałych map i globusów ziemskich. Piotr nic nie odpowiedział, lecz w tajemnicy przed księdzem zabrał się do kaligrafii i wkrótce takięj nabrał wprawy, że mógł opiekunowi swemu przedstawić dużą mapę, bardzo dokładnie i ozdobnie wykonaną. Zrobił też i globus ziemski dla muzeum akademickiego, a następnie rząd austriacki powierzył mu wykonanie mapy Tyrolu. Nie zaniedbał jednak przy tych zajęciach ulubionęj nauki astronomii, udało mu się nawet dokonać ważnych spostrzeżeń, profesorowie uniwersytetu zasięgałi jego zdania i otaczali go szacunkiem.

Piotr Anich umarł wczesnie, miał dopiero lat czterdzieści trzy, gdy przeziębł się, robiąc pomiary geometryczne na gruntach bagnistych i dostał zgnilęj gorączki. Życie jego jest przykładem, jak wiele dokonać można, mając silną i wytrwałą wolę i wielkie zamiłowanie do nauki. Prosty ten wieśniak, który całą młodość spędził przy zajęciach, nie mających nic wspólnego z nauką, pasał owce, ziemię orał, doszedł jednak do tego własném usiłowaniem, że dorównał ludziom prawdziwie uczonym.

ZMARTWYCHWSTANIE.

Z jutrzeńki brzaskiem, wśród wiosny technienia,
Radosnym dźwiękiem dzwon się odzywa,
I głosząc światu prawdę zbawienia,
Do uczyt wzywa.

Uczyt to wielka dla wszystkich ludzi,
Dla tęg od wieków cierpiącej rzeszy,
Wśród ciemnej drogi jasność rozbudzi,
Winnych rozgrzeszy.

Ten, co ukochał tak nas bez miary,
Z cichą pokorą wziął nasze winy,
Dopełnił wziętęj na się ofiary
Za ludzkie syny.

Okruszynami swojego stołu
Nakarmi wszystkich, wielkich i małych,
Śpieszmyż, by zasiąść wszyscy pospołu
Wpośród zgłodniałych.

Bo zmartwychwstaje Pan nasz nad Pany,
Bóg-Syn w postaci skromnej człowieka,
I gojąc świata zbolełe rany,
Wszystkich nas czeka.

W duszy więc niechaj nam zmartwychwstanie
Nauka prawdy, Boskięj mądrości,
Nadzieję budząc w sercach zaranie
Wiary, miłości!

Z. Morawska.

ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez **Mayne-Reid'a.**

(Dalszy ciąg).

Żeglarze sądzili zrazu, że biedny kuchmistrz zginął i nie powstanie więcej, że ogromny pień zgniółł go na miazgę swoim ciężarem. Nic mu się jednak nie stało, nie miał najłżejszego zadraśnięcia, zerwał się żwawo na nogi, kichnął tylko kilka razy, nalykawszy się porządnie kurzu.

Dzicy w tęg samęj chwili ukazali się na płaskowzgórzu; nie zwrócili jednak żadnej uwagi na upadające drzewo, zjawisko to było dla nich pospolitą rzeczą. Możeby byli nie zważali także i na kichania Poluksa, zagłuszone hałasem i wrzawą ogólną. Psy okazały więcej roztropności; jak tylko przednia ich straż wpadła na płaskowzgórze, poczuła węchem murzyna i rzuciła się na niego, szczekając zajadle. Na to hasło nadbiegła reszta psiarńi, i w jednę chwilę całą gromadka rozbitków ujrzała się otoczona przez liczną zgromadzoną zwierząt rozjuszonych, wyjąjących przeraźliwie. Kapitan Ganey spostrzegł odrazu, że nie było sposobu dłużej się ukrywać, podniósł więc głos, zwołując wszystkich majtków i stanął odważnie na ich czele, obejmując ramionami drzące kobiety.

Dzicy w pierwszęj chwili spoglądali na nich z wyrazem osłupienia a nawet przerażenia. Cofnęli się o parę kroków, tuląc się jedni do drugich, spodziewali się zapewne usłyszeć te straszliwe wystrzały palnej broni, z któremi się już zapoznali w poprzedniém swém spotkaniu z białymi ludźmi. Nie śmieli więc się zbliżać, porozumiewali się tylko między sobą, wołając:

— *Akifka akinisz!*.. (biali ludzie!)

Wkrótce jednak spostrzegli, że nie było czego się obawiać, bo biali ludzie nie mieli żadnej broni, oprócz kijów, któremi ledwo się od psów opędzić mogli. Tymczasem cała gromada dzikich wylądowała na wybrzeże i stanęła na płaskowzgórzu. W parę minut rozbitki otoczeni byli dokoła, wstrętna, okropna tłuszcza najpotworniejszych w świecie istot naciskała ich zblizka ze wszystkich stron. Były tam w tym tłumie i kobiety z oczyma krwawemi, rozterganemi włosami, i starey przygarbieni, o długich chudych ramionach, i dzieci, podobne do małpiąt, i mężczyźni w sile wieku, z wyrazem twarzy, przypominającym najdrapieżniejsze zwierzęta. W błędnych spojrzaniach, które rzucali wszyscy na nieszczęśliwych rozbitków, nie było nic ludzkiego, najmniejszego śladu współczucia lub litości; malowały się w nich tylko najdziksze zwierzęce instynkta, gniew, zemsta, chciwość. Z ust ich wychodziły głuche okrzyki, podobniejsze do ryku bydła niż do głosu ludzkiego.

Biedna Madzia nie mogła przenieść tego straszego widoku, pochyliła głowę na ramię matki i straciła przytomność. Kapitan Ganey pochwycił córkę w objęcia, na czole jego za-

rysowała się ciężka troska, żona, tłumiąc łkanie, tuliła się do niego wybladła i drżąca.

A wtém ukazał się na płaskowzgórzu jeden jeszcze Elikolep, widocznie wódz całej téj gromady, gdyż wszyscy rozstępowali się przed nim z uszanowaniem. Nowo przybyły ubrany był nieco wykwintniej od swoich podwładnych: miał na sobie rodzaj spódniczki ze skóry żółtej, coś nakształt stroju szkockiego, posiadał nawet okrycie głowy, stary kapelus z słomiany, a w rękę trzymał strzelbę skałkową. Nietylko jednak te szacowne przedmioty stanowiły jego wyższość, szanowano w nim oczywiście i siłę, i rozum niepospolity. Kapitan Ganey nie mógł wyjść z podziwienia, gdy ten wódz Elikolepów przemówił do niego po angielsku.

— Strzelaliście do moich wojowników — rzekł dziki — zraniliście mi trzech ludzi.

— Twój wojowniczy zagroził nam drogę na morzu, a po morzu wolno przecież każdemu żeglować — odpowiedział kapitan Ganey.

— Mieli prawo do tego, boście knuli przeciw nam zdradliwe zamiary. Pociście płynęli przez tę cieśninę, i zbliżali się do naszych mieszkań? — mówił znów tamten — Ale gdzież to się podziały wasze strzelby? — dodał, oglądając się dokoła, nie bez pewnego niepokoju.

— Zabrali je towarzysze nasi, którzy poszli na polowanie — rzekł kapitan, spostrzegłszy odrazu w jaki sposób z tego niepokoju skorzystać można — może wódz raczy zjeść obiad z nami, zanim oni powrócą. Przy jedzeniu lepiej idzie rozmowa.

— Wódz najwyższy Elikolepów ma podostatkiem ryb i zwierzyny — odrzekł dziki obojętnie.

— Nie wątpię o tém, ale mój kucharz tu obecny umie przyrządzać jedzenie z wybornymi przyprawami, których przyjaciel mój, wódz najwyższy, może nigdy jeszcze nie kosztował.

— Wódz najwyższy gardzi cudzoziemskimi przyprawami; kosztował ich nieraz, lecz woli potrawy, które jadali ojcowie jego.

Niewiadomo, na czemby się była skończyła ta osobliwsza rozmowa, gdyby na nieszczęście wzmianka kapitana o Poluksa, którego wskazał jako doskonałego kuchmistrza, nie zwróciła była powszechnej uwagi na biednego murzyna. Dzicy w pierwszej chwili nie spostrzegli barwy jego skóry, gdyż cały okryty był kurzem, po wiadomym wypadku z drzewem; w końcu jednak poznali w nim murzyna, a odkrycie to osobliwsze na nich wywarło wrażenie. Trzeba wiedzieć, że mieszkańcy Ziemi Ognistej mają najokropniejszy wstręt do murzynów afrykańskich. Jest to rzecz niepojęta, sami bowiem stokroć szpetniej od nich wyglądają i pod każdym względem niezawodnie stoją na niższym stopniu, a jednak faktem jest, że nie mogą znosić widoku murzyna. Jak tylko tłum obaczył Poluksa, ze wszech stron ozwał się szmer złowrogi, liczne głosy zaczęły wołać coraz głośniej:

— *Ika! szuloke!... Uftukla!...* (Zabić czarnego psa!)

I nie czekając rozkazów najwyższego wodza, kilkanaście rąk pochwyliło nieszczęśliwego Poluksa. Napad ten stał się hasłem strasznego zamieszania. Namiętności, które na chwilę powstrzymała ciekawość i uszanowanie dla wodza, rozmawiającego z białymi, wybuchły teraz z całą gwałtownością. Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszystko to rzuciło się na rozbitków z najwyższą wściekłością. Rozdzielono ich i powiązano, kto wie, coby się stało z nimi, gdyby wódz nie był się odezwał:

— Macie teraz ryb dosyć, zostawcie jeńców na zimę — rzekł w języku krajowców.

Uwaga ta wszystkim trafiła do przekonania, niektórzy tylko byli niezadowoleni i żądali, ażeby przynajmniej spożytkować murzyna nie odkładać na później. Może nawet to jedno go uratowało, że na płaskowzgórzu brakło miejsca dla tak licznej gromady, dzicy nie mogli się tu rozłożyć wygodnie z przybarami kuchennymi. To też postanowili przekąsić

tylko trochę i płynąć dalej, aby sobie upatrzeć wygodniejsze miejsce na dłuższe koczowisko. Jeńców zaś powiązanych zaraz umieścili na łodziach.

Okolo drugiej po południu, najadłszy się do syta rybami pieczonemi na węglach, rozdmuchanych w ognisku Poluksa, gromada dzikich wyruszyła dalej w kierunku wschodnim. Kapitan Ganey zaledwie parę słów mógł przemówić do żony i córki w okropnej chwili rozstania, gdyż umieszczono je w osobnej łodzi.

— Nie traćcie nadziei, ukochane moje — rzekł do nich półgłosem — jeszcze nie wszystko stracone, może wydestaniemy się z tych rąk okrutnych...

Lecz bładość śmiertelna jego twarzy i rozpacz, malująca się w oczach, przeżyły tym słowom; pani Ganey rozumiała dobrze, iż ta nadzieja, którą je chciał ludzić, była urojona, odpowiedziała mu więc tylko bolesnym uśmiechem. Madzia otrząsnęła się teraz z pierwszego przestachu, okazywała nawet niezwykłą odwagę.

— O tak, ojczy, nie traćmy nadziei — rzekła z anielskim wyrazem w pięknych oczach i z niepojętym w tak straszném położeniu spokojem — Henryk Chester jest wolny, on nas uratuje.

Ojciec popatrzał na nią z boleścią głęboką, nie chciał zachwiać téj ufności, chociaż sam jęć nie podzielał. Henryk był dzieckiem prawie, zresztą, cóż on mógł dla nich uczynić przy najlepszych chęciach i najgorliwszych usiłowaniach?

XIII

Na lądzie.

Gdy minęła pierwsza chwila przerażenia, Henryk Chester i Seagriff zaczęli grunt bacznie oglądać, szukając śladów walki lub gwałtów. Nic podobnego nie znaleźli, lecz nie odkryli także najmniejszego znaku, z któregooby wnosić mogli, że kapitan Ganey dobrowolnie opuścił to miejsce. A przecież niepodobna, aby w takim razie nie starał się ich o tém za-wadzić. Nie ulegało zatem wątpliwości, że go z rodziną uprowadzono przemocą.

O obecności dzikich na płaskowzgórzu świadczyły najlepiej ości rybnie, porozrzucone wszędzie w ogromnej obfitości. Były to resztki uczy. Oczywista rzecz, że kapitan Ganey z kilku majtkami nie był w stanie nałowić tylu ryb, nie mieli bowiem potrzebnych do tego przyborów rybackich. Henryk przypomniał sobie teraz czółna, które widzieli z wierzchołka góry, wiedział więc przynajmniej, w którą stronę dzicy uprowadził jeńców, czółna te płynęły w kierunku wschodnim, to jest prosto do kanału Beagle'a. Młodzieniec głośno wypowiedział te wszystkie myśli, a doszedłszy do tego ostatniego wniosku, tak widoczne okazywał zadowolenie, że Seagriff nie mógł ukryć zdziwienia i rzekł:

— Jakaż w tém pociecha, że jeńcy popłynęli na wschód a nie na zachód? Zawsze są przecież w rękach najokropniejszych hultajów, jakich ziemia Boża nosiła. Los ich będzie równie smutny, czy na wschodzie czy na zachodzie.

— To być może, mój drogi Seagriffie — odrzekł Henryk — w każdym razie, ponieważ w skutek dzisiejszej naszej wycieczki powzięliśmy postanowienie zwrócić się na wschód, gdybyśmy w podróż puścić się mieli, więc rad jestem, że i dzicy uprowadzili jeńców w tę stronę. Dziwię się nawet, iż nie odgadłeś moich myśli. Zastanów się tylko: podróż piesza przez gęszcze leśne, wzdłuż wybrzeży kanału, byłaby dla obu pań nadzwyczaj uciążliwa. Może więc ci Elikolepi ułatwili sprawę, uwołając je na swoich łodziach!...

(d. c. n.)

PRZERWANE WESELE.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W TRZECH AKTACH

przez M.....a

(Dalszy ciąg).

Akt II.

(po niejakić chwili).

(Całe poprzednie grono wchodzi napowrót po ślubie z kaplicy. Panę młodą prowadzą do krzesła, lecz ona pozostaje stojąc, i gdy wszyscy wejdą i księżna Ostrogska stoi pośrodku, wskazując miejsca gościom, Anna-Aloiza przystępuje do matki i upada jęj do nóg).

ANNA.

Dziękuję ci, o matko, żeś mię wychowała,
Ty sama, mimo nieszczęść brzemię tve niezmierne;
Uczyła, iż na ziemi w cnocie tylko chwala,
A cnotą jest pełnienie obowiązku wierne;
Dziękuję, iż twój przykład przez me młode lata
Nauczył mię żyć z Bogiem, jeszcze tu, wśród świata...

(nachyla się matce do nóg).

CHODKIEWICZ (przystępując żywo).

Omdlewa ze wzruszenia, braknie jęj na sile...

KSIEŻNA (wstrzymując go skinieniem).

Daj pokój... siłę dają właśnie wzruszeń chwile!
(do Anny, kładąc rękę na jęj głowie).

Raz jeszcze, raz ostatni błogosławię tobie,
Bo nie wiem, czas-li będzie, zanim legnę w grobie:
Na życie błogosławię, święte, nieskażenie,
Na czyste, jak masz dotąd serce i sumienie,
Na siłę ku pełnieniu świętych powinności,
Na rozum, jasną wolę, i na śmierć w radości!

(podnosi córkę i ścisła, potem mówi do gości:).

A teraz uczta czeka, jako i kapela,
Najbliższych was dla serca widzę dziś niewiela,
Lecz wiemy, że ich szukać trzeba, gdzie tany
Zawodzieć wkrótce przyjdzie krwawe z bisurmany;
A że dziś właśnie miałam wieści przed godziną,
Więc mam za obowiązek dzielić je z rodziną,

(wszyscy skupiają się koło niej).

Niestety! nie są dobre: król wciąż radzi z pany,
Lecz hetman wielki jeszcze dotąd nie obrany!
Wre Polska niepokojem, każdą z chwil straconą
Przyplacić możem naszą wiarą i koroną,
Bo Osman z zastępami blizki już granicy,
A dotąd jeszcze nie brzmi pieśń Boga-rodzicy!
Padł hetman, nieuczczona jego głowa siwa,
I wodza dzisiaj nie ma Polska nieszczęśliwa!

(po chwili milczenia).

Tam w salach obszerniejszych więć miłych gości
Nas czeka, by podzielić smutek i radości,
Nie traćmyż zatem czasu, przyjaciele mili,
Gdy Bóg wie, co tam może spotkać nas po chwili...

(wszyscy zabierają się wychodzić porządkiem na ucztę, muzyka w dalszych salach grać zaczyna, gdy nagle rozlega się dźwięk trąbki, wszyscy stoją, jak uryci, muzyka milknie. Po chwili najbliżsi okien wyglądają niemi).

GŁOSY OD OKIEN.

To goniec!

WSZYSZY (wzruszeni).

Co to?

GŁOSY OD OKIEN.

Goniec!... Z trudu prawie pada!...

KSIEŻNA.

Dać puhar wina!

WSZYSZY (szepcząc).

Sułtan, czy królewska rada,

Nowego coś przysłali pono nam na gody!...

(Wchodzi rycerz w lekkić zbroi z pargaminem o wielu pieczęciach w ręku, chwiejąc się, spogląda po obecnych, skłania głowę przed księżną i oddaje pargamin Chodkiewiczowi. Panowie wprowadzają rycerza na bok, podają mu krzesło i puhar wina, następnie uracają, otaczając Chodkiewicza, który mocno wzruszony w pierwszej chwili, następnie wskazuje pismo otrzymane matce i żonie).

CHODKIEWICZ (drżącym głosem).

Królewskie pismo!...

(panie skłaniają głowy).

LUBOMIRSKI.

Czytaj, panie młody!

(Chodkiewicz otwiera pismo, spogląda na nie, i chwilę milczy nieruchomy, jak skamieniały, opuściwszy ręce i głowę, wszyscy patrzą na niego niespokojni).

CHODKIEWICZ (po chwili, podnosząc głowę).

Sułtan przebył granicę!... Król z radnemi pany
Hetmanem mnie obrali, do wojskam wezwany...

ZAMOYSKI.

Toż przecież nie natychmiast!

CHODKIEWICZ (wskazując pismo).

Piszą „teżę chwili”...

ZAMOYSKA (cicho do gości).

Słyszał kto co takiego? moi krewni mili?...

CHODKIEWICZ (przystępując do Anny).

Jak twoim, tak i tamtęj ja winienem wiarę,
Zamiast nieść jęj ochotnie krwi mojęj ofiarę,
Czy mam ją dziś opuścić w trwodze tęj niezmiernęj?

ANNA.

Nie byłbyś moim, gdybyś mniej był tamtęj wierny!
Cierpliwie czekać będę, w życiu i we skonie!

CHODKIEWICZ.

Bóg z tobą!... Wy żegnajcie!...

(kłania się matce i gościom).

PANOWIE (z zapalem).

Jedziem z tobą!

(wszyscy panowie z Chodkiewiczem wychodzą).

CHODKIEWICZ (woła za progiem).

Konie!...

ZAMOYSKA (po ich odejściu załamując ręce).

Przerwane gody!... Boże! ha, gdyby tak moje!...

LUBOMIRSKA (patrząc na Annę).

Wylałabyś już pewno łez ogromne zdroje!...

ANNA (chwilę nieruchoma przystępuje do matki).

Wszak dawniej, kiedy ojciec żył i szedł na wojnę,
Ty, matko, zdejmowałaś szaty twoje strojne,
A kładłaś te ot, których nie zdejmujesz więć,
Wyrzekłszy się niewieścićj krasy i książęcćj!

(Księżna zadumana podnosi głowę, patrząc na Annę, Zamoyska, jakby przestraszona, chwytta Lubomirską za ramię).

ZAMOYSKA.

Słuchajno! słuchaj, siostrzo, co mówi ta mała!...

ANNA.

Więc gdy dziś mąż mój walczy, a jam tu została,
I jabym chciała także zdjąć ten strój bogaty
I tak, jak ty czyniłaś, wziąć pokutne szaty,
Czekając tak na męża, jak mu dałam słowo
Do skonu czekać wiernie?

KSIĘŻNA.

Dobrze, hetmanowo!

Wy siostry, pójdźcie służyć dzisiaj pani młodej,
Strój dajcie, nie ten, gotów na dzisiejsze gody,
Lecz tamten, co z zakonnéj czerni jest osnuty,
Jak wy wdziwacie czasem w post i w dni pokuty.

ZAMOYSKA (płacząc).

O Boże, cóż za gody!...

(*obie z Lubomirską przynoszą ubranie wpeł zakonne, jakie i sama księżna, ma na sobie, mimo wesela. Księżna zdejmując Annie ślubny wianek i zastaną i wkłada odzież zakonną na białe ślubne stroje.*)

KSIĘŻNA.

Po ślubów potwierdzenie pójdźmy do kaplicy!

(*Bierze Annę za rękę i wychodzi z nią, inne za niemi.*)

(*d. c. n.*)

DRUSKIENIKI.

W malowniczej okolicy, nad Niemnem i Rotniczanką, w guberni grodzieńskiej, leży niewielkie miasteczko Druskieniki, posiadające źródła słone lecznicze. Lud okoliczny od niepamiętnych czasów znał dobroczynne własności téj wody,



Druskieniki,

KSIĘŻNA.

Oto ja na ciebie,

Tak prawie nieskażoną, jak anieli w niebie,
Gdy mąż twój z szablą śpiewa hymn Bogarodzicy,
Jak na grzesznicę, wkładam szatę pokutnicy,
Na uproszenie jemu chwały dla oręża!

ANNA (*już po zakonnemu, klękła*).

Ślubuję nie zdjąć szat tych, aż zobacę męża...
Zwycięzca, żywym, zdrowym, znów w domowych progach,
Gdy śladu nie zostanie w ziemi méj po wrogach,
I rycerz zaprzestanie życie swe tułaczę!

ZAMOYSKA (*z płaczem*).

To nie jest do zniesienia, ja się dziś zapłacę,
Na takich strasznych godach téj oblubienicy!

przy końcu zeszłego wieku miejscowość ta zaczęła się wsiawiać, zjeżdżali się do źródeł druskienickich chorzy z dalszych stron nawet, chociaż nie było tam ani lekarza, ani mieszkań wygodnych przez czas długi. Dopiero około roku 1836 powstał w Druskienikach zakład kąpielowy i ódtąd coraz pomysłniej się rozwija. Pobyt tam jest przyjemny i zdrowy, okolica bardzo piękna, otoczona górami i lasami, nie braknie miejsce stosownych do urządzania miłych przechadzek i dalszych wycieczek.

Kto lubi wspomnienia przeszłości, znajdzie ich tu niemało. W pobliżu Druskienik nieraz w dawnych czasach płądowali Krzyżacy, przeprawiali się przez Niemen, staczali boje zacięte z Litwą pogańską, w imię religii chrześcijańskiej krew i pożogę niesli dokoła. Według podań ludowych, miało tu niegdyś, w zamierzchłej starożytności, stać miasto zwane Rajgrodem, które zapadło w ziemię, a na jego miejscu powstały moczary.

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki.**

(Dalszy ciąg).

List Jadwigi do siostry.

Sobota d. 11 Października.

Najmilszy mój dzieciaku! List twój ostatni napełnił mnie niewysłowioną radością, jesteś zadowolona, szczęśliwą niemal pośród nowej rodziny, z którą cię losy złączyły, o ile szczęśliwą być można w naszym położeniu. Wiadomość ta jest dla mnie wielkiem ukojeniem, przy tém pierwszém rozstaniu w naszym życiu i sieroctwie, w jakim pograżyła nas śmierć matki ukochanej. Rozpaczy jednak oddawać się nie możemy, przed nami życie pracy i obowiązku, a wiara, że duch tój, która nas opuściła zbyt wczesnie, czuwa nad nami, powinna nam dodawać siły i łagodzić smutek. Ale najcięższy żal wiecznym być nie może, czas uśmierza najsroźsze cierpienia, więc i Tola moja coraz rzadziej płakać będzie, mając przy sobie tyle serc zacnych i kochających, i przyjaźń takiej istoty, jak Hanka. Bóg jest Ojcem sierot, i po ojcowsku zaopiekował się i sierotką moją.

W każdym prawie liście donosisz mi, że na zamianie miejsca z Terenią zyskałaś dużo, bo posiadałaś spokój serca i trochę odosobnienia, a to bądź co bądź zawsze dla ciebie miało dużo uroku. Chwilowy smutek, jakiego doznawałaś, iż wyżej nie możesz się kształcić, minął bezpowrotnie, cieszy mię to, że wszystko tak się dobrze układa, i że Tola moja kochana zadowolona z tego co ma i nie goni za tém, czego się raz dobrowolnie wyrzekła. Jesteś dosyć wykształconą, kochanku, posiadasz dużo rozumu i jasnego poglądu, a tyle pięknych dzieł, jakimi was zawsze zaopatruje p. Kazimierz, dopełni wiele i nie potrzebuję cię zachęcać, abyś z nich korzystała. Jedno ci jednak zalecę, nasłuchuj się pilnie, gdy mówi wujcio, kiedy i ty tak go już nasywasz, bo jest to człowiek wielkiej nauki, i wielkiego rozumu.

Od Tereni miałam list niedawno, nie powiem jednak, że hym z niego była zadowolona, widzę, że biedaczka nie jest zupełnie szczęśliwa. O ile mnie się zdaje, Terenia nie jest na właściwej sobie drodze. Nuży się i męczy, choć stara się ukryć to, sama przed sobą nieledwie. Wmawia we wszystkich i w siebie, że zawód nauczycielski to jój powołanie, zdaje jój się, że o tém marzyła oddawna, i że to było jedyne, gorące pragnienie jój serca. A jednak tak nie jest, Terenia się myli i musimy myśleć o tém, ażeby tę białą lilijkę naszą na inny grunt przesadzić, bo tu nam uschnie i zmarnuje się. Ale pocóż ja to piszę, alboż nie czuwa nad nią wuj Kazimierz? on to widzi z pewnością, a jeżeli milczy dotąd, to znaczy, że nic jeszcze nie grozi Tereni.

Zapytujesz, kiedy się zobaczymy? O! dziecko drogie, to jeszcze tak prędko nastąpić nie może, przestrzeń nas dzieląca jest dosyć znaczna, podróż kosztowna, a my rachować się musimy, gdyż nie możemy robić wydatków jedynie tylko dla swój przyjemności. Serce i dusza moja rwie się do ciebie, sierotko moja kochana, ale rozum musi wziąć górę, a i obowiązki, jakie przyjąłam, nie pozwalają mi wydaleć się często. Wspomniawszy o obowiązkach, przysłała mi na myśl pieszczotka moja Lenka, która, jak powiada, czuje wstręt do samego tego wyrazu. Szczęśliwa istota, ale i warta tego, nawskroś szlachetne i dobre dziewczątka, zła zna chyba tylko z imienia. Widzisz, Tolu, sama teraz, czy nie miałam słuszności, namawiając cię do zaznajomienia się z nią? Była-byś może dotąd czuła się zniechęconą i nieufną do ludzi, a dziś jakże odmienne uczucie panuje w twém sercu, a prze-miana ta twoja, ani wiesz, jaką napełnia mnie radością.

Zdrowie moje znacznie się polepszyło, jestem silniejszą

i zaczynam wyglądać wcale nieźle, jak się zobaczymy, to mnie może nie poznasz. A niemało wpływa na to i otoczenie, w jakim się znajduję, bo jacyż to ludzie zacni i dobrzy! Sama pani macierzyńską otacza mnie troskliwością, a dziewczątka tak miłe, grzeczne i serdeczne, że chociaż nie tak jeszcze dawno jestem z niemi, kocham je duszą całą. Dla takich dzieci nie żal pracy, a i najcięższą osłodzić potrafią swém postępowaniem.

Pisz do mnie jak najczęściej, Tolu moja droga, opowiadaj mi najdrobniejsze szczegóły waszego życia, bo to zajmują mię bardzo, a wtajemniczona we wszystko, co porabiacie, doznaję czasem złudzenia, że jestem z wami. Do Hanki dziś nie piszę, uściskaj ją serdecznie odemnie, za tydzień do niej znów list wyprawię. Wiem, że między wami wszystko wspólne, więc i tak list mój czytać będzie.

Do p. Wolskiej piszę dziś także, nie mam dość wyrazów na wypowiedzenie méj wdzięczności, że ukochaną siostrzyczką moję za córkę prawie uważają. A teraz, Tolu moja droga, polecając cię Bogu, przytulam choć w myśli do stęsknionego za tobą serca, i ściskam i całuję cię po tysiąc razy,

twoja Jadwiga.

— Jakże to dobrze — rzekła Hanka, oddając list Toli — jak dobrze, że Jadwinia zadowolona z miejsca, i że przychodzi do zdrowia; powinnaś, Tolu, być już teraz spokojną i nie martwić się o siostrę.

— To też jestem nad wszelki wyraz szczęśliwą, że kochana moja Jadwinia zdrowa, i nie męczy się tém bezustanném chodzeniem po mieście. Ale radość moję zatruliła myśl o Tereni; jakież to męczące, ta ciągła walka z sobą, ten wewnętrzny niepokój i pragnienie czegoś niedoścignionego! O! to stan bardzo przykry. Doświadczałam tego na sobie, dusza moja rwała się ciągle w jakieś wyżyny, a życzeń swych nie umiałam nawet określić. Ożem ja być nie chciałam, moja Hanko, a dziś, gdy sobie przypomnę te marzenia, śmiech mnie ogarnia. Wprawdzie moje wszystkie zamiary paraliżowało nieszczęsne kalectwo, to też gdy sobie to przypomniałam, zdawało mi się, że zanurzam się w zimnej wodzie. Kąpiele te dobrze działały na mą wyobraźnię, przychodziłam do równowagi umysłowej, a dziś spokoju mego i zadowolenia nie mieniałabym za nic.

— O! z Terenią tak łatwo to nie pójdzie — rzekła Hanka z westchnieniem — musi przejść przez ciężkie próby, zanim dojdzie do takiego spokoju umysłu, jaki my posiadamy. Biedna moja siostrzyczka, zawsze była marzycielką, idea listką, zawsze spogląda w niebiosa, nigdy na ziemię.

— Jakto, Hanko — zapytał wuj Kazimierz, który pośpieszył tu za panienkami, chcąc im jeszcze oddać jakiś pakietek z Warszawy — więc ty potępiasz usposobienie i poglądy Tereni? miałażbyś być realistką w całym znaczeniu tego wyrazu?

— Oho, będzie bura — rzekła Hanka, wsuwając list Tereni do szufiadki — wujcio wysłuchał naszej rozmowy, ale to dobrze się stało, będzie przedmiot do dłuższej gawędki a ja to bardzo lubię.

— Niechże wujcio siada — rzekła Tola, przysuwając panu Kazimierzowi krzesło — ot tu, przy tym stoliku, to będzie jak z katedry.

— Nie jestem przysposobiony dziś na katedrę — odrzekł z uśmiechem, przysuwając krzesło do Toli — nie będzie żadnych poważnych rozpraw, ale krótka gawędka. Wuj jakże to było, Hanko? aha: *biedna Terenia jest marzycielką i spogląda w niebiosa, a nigdy na ziemię*, zdaje mi się, że tak słyszałem słowa? Dobrze, powiedz mi jednak, dla czego mówisz: *biedna Terenia*? Cóż w niej tak bardzo godnego politowania?

— Jak widzę, zasiadam na ławie oskarżonych, używając urzędowego wyrażenia — rzekła Hanka wesoło — tłómaczenie nie doprawdy wcale niełatwe, i chyba pomoże mi Tola, aby wybrnąć jako tako zdołała. Zanim jednak przystąpię do wyjaśnienia, dla czego powiedziałam „biedna Terenia”, zap...

tam wpraw wujcia, tylko proszę o szczerą odpowiedź, czy wujcio istotnie, serdecznie zadowolony z Tereni? czy wujcio o nią spokojny, czy tak jak jest obecnie, daje rękojmą, że da sobie radę w życiu? Bo co do mnie, to bardzo się niepokoję o tę ukochaną moją siostrzyczkę.

Pan Kazimierz gładził wąsy i spoglądał w okno, a gdy Hanka mówić przestała, spojrział na nią i pokiwał głową, rzekł:

— Więc mam odpowiadać szczerze? ha, gdy tego żądasz, Hanko, dobrze, chociaż nie myślałem jeszcze wyjawiać mego zdania tak wcześnie. Powiadam zatem szczerze, że nie jestem spokojny o Terenię tak, jak o ciebie, która odrazu stanęłaś silna i wiedząca, czego chcesz, i gdzie idziesz. Ale mogę cię zapewnić, Hanko, że niepokój mój jest tylko chwilowy, ja wiem, że Terenia znajdzie grunt pod stopami i będzie szczęśliwą, musi nią być — dodał z mocą.

— Ach! wujciu, mówisz o tym z takim przekonaniem — rzekła Hanka z odcieniem goryczy w głosie — jakbyś był czarodziejem, i mógł usunąć od nas wszystkie troski i zmartwienia. Do tego bardzo jeszcze daleko, jeszcze nie jeden rok ciężkiej pracy upłynąć musi, aby to szczęście zajaśniało dla nas.

— Twojeż to słowa, Hanko? — zapytał p. Kazimierz — ty, wierząca w przyszłość, i ufna w swe siły, mówisz z rodzajem zwątpienia; czyżbyś twą cierpliwość i wytrwałość wyzierała na początku drogi pracy i trudu?

Ciemna brew Hanki ściągnęła się chmurnie.

— Czyż o mnie tu idzie, wujciu? — rzekła ze smutkiem — och, najcięższa praca byłaby mi lekka, gdybym nią okupiła spokój matki drogiej i sędziwej babuni, która już tyle nieszczęść przeszła w swém życiu. A Janek i Kazio? pomijam już Jadwinię i Elwicę, które i w domu uczyć się mogą, ale chłopcy, wuju, co z nich będzie, jeżeli żadnej nauki osiąść nie będą mogli? Prawda, że dziś pracujemy wszyscy od rana do nocy, ale z pracy naszej nie mamy nic jeszcze.

— Hanko — zawołała milcząca dotąd Tola — co ci się dziś stało? jeszcze przed godziną byłaś pełna otuchy i wiary, czyż zapomniałaś o naszych pieniądzech, które mamy w kieszeni, a te pieniądze, przecież to kamień węgielny naszej świetnej przyszłości.

— Naszej świetnej przyszłości — szepnęła Hanka, a po chwili milczenia dodała z ożywieniem. — Zapomnijcie, co mówiłam przed chwilą, sama nie wiem, co mi przyszło do głowy, Tola ma słuszność, kamień węgielny zakładamy jutro.

— Już jutro? — zapytał wuj — dlaczego tak prędko?

— A pocóż odkładać — odrzekła — każdy dzień to kapitał, musi procentować; tak, tak, od jutra do dzieła, Tolu.

— To dobrze — rzekł p. Kazimierz — ale wracam do początku naszej rozmowy, odbiegliśmy od niej, i już, już było blisko tego, że zamiast powiedzieć: biedna Terenia, można było zawołać: biedna Hanka!

— Masz słuszność, wuju, wstydzę się słów moich, doprawdy gotowa jestem zawołać na głos cały, że do szczęścia naszego bardzo blisko. Przyszłość zdobędziemy, ale te lata zdobywania, jakie ciężkie będą dla mateczki!

— Otóż raz jeszcze muszę powiedzieć, że wracamy do początku rozmowy — powiedział p. Kazimierz zwracając się do Hanki — powiedz mi, o co już raz pytałem, dlaczego Terenię nazywasz biedną?

— Dlatego, wuju, że ona sama za taką się uważa — odpowiedziała z pewną niechęcią — a czyż nie jest biednym ten, kto niezadowolony ze swego losu, kto w duszy ma pragnienia, które spełnionem być nie mogą?

— Ach! więc Terenia nie jest zadowolona z obecnego położenia — zapytał p. Kazimierz, patrząc badawczo na Hankę — nie mówiła mi nic jednak o tém sama, nie nadmieniła ani słowa.

— Nie chciała wujcia martwić — rzekła Tola — a może i wstydziła się trochę, prosi bowiem, aby nie wspominać o jej smutku i tęsknocie.

— Wujciu, udajesz zdziwionego — rzekła Hanka, wzruszając ramionami — a w tej chwili rozjaśnia mi się w głowie, że dawno wiesz o tém, gdyż te twoje wycieczki do Warszawy nie były daremne. Jak widzę, Jadwinia zna cię, wuju, lepiej aniżeli ja, gdyż pisała, że nie mamy potrzeby martwić się o Terenię, skoro nad nią czuwa wuj Kazimierz.

Na ostatnie słowa Hanki, uśmiech nieznaczny pojawił się na ustach p. Kazimierza, ale nie odpowiadając na to, rzekł:

— Powiadasz, Hanko, że biednym jest, kto ma pragnienia, które spełnione być nie mogą, to prawda, ale ty nazwałaś Terenię biedną dla tego, że jest idealistką i marzycielką. Otóż na to odpowiem ci, Hanko, że biednym prawdziwie jest ten, kto w duszy nie piastuje żadnych ideałów. Ideał, dziewczyno, to coś doskonałego, wyższego, szlachetnego, to cel jakiś wzniosły, do którego dążyć powinniśmy wszyscy. Alboż ty, Hanko, w pracy swjej, poświęceniu i miłości dla matki i rodziny, nie jesteś idealistką? Marzycielstwo to rzecz inna, marząc beczynnem nie dojdziemy nigdy do niczego, marzeniem nazywamy rzeczy, które nigdy spełnić się nie mogą, zdaje mi się więc, że Terenię niesłusznie marzycielką nazywasz. Prawda, Terenia nie weszła odrazu na drogę pracy i obowiązku, jak to ty uczyniłaś, Hanko, nie otrząsnęła się z chęci, która ją ciągnęła do zajęć i pracy innej natury, jak ta, która na razie chleb daje, ale i Tereni dążności są te same, co twoje, Hanko, aby stać się podporą rodziny, i dla niej jedynie poświęcić swe siły i pracę.

— Ach, wujciu, mówisz to takim tonem, jakgdybym ja chociaż na jedną chwilę wątpiła o sercu Tereni — zawołała Hanka z rumieńcem na twarzy — a przecież ja umiem ją ocenić, wiem, że ona lepsza jest odemnie, sto razy więcej warta, Tereni nikt chyba więcej ukochać nie może, jak ja ją kocham. To, co mówiłam, było trochę i niepokojem o nią, i żalem chwilowym, że wyrwała się nam w świat, gdzie jej nikt ani tak ocenić, ani ukochać nie potrafi. Mam wyrzut sumienia, czy nie dopomogłam jój do tego jedynie z miłości i chęci dogodzenia. Powiedz, wuju, czy nie należało zatrzymać jój w domu, czyśmy dobrze zrobili, puszczając ją w świat tak młodzieńką i niedoświadczoną?

— Możnaż było niewolniczo ją krępować? — zapytał poważnie p. Kazimierz — życie, Hanko, jest szkołą doświadczenia, Terenia przejdzie przez tę szkołę, i gdy wróci do nas, będzie się czuła szczęśliwą i zadowoloną, bo pozna, że niema może większego szczęścia, jak szczęście rodzinnego ogniska. Niech walczy i próbuje sił swoich, co zdobędzie pracą, będzie to jój własną zasługą. Pozwól jój, Hanko, spoglądać w niebiosy, bo z tej wyżyny nie brudnego nie przyłgnie do jój duszy, i nie troszcz się o nią zbyt, bo...

— Bo czuwa nad nią wuj Kazimierz, jak słusznie powiada Jadwinia — przerwała Hanka, rękę wuja do ust przyciskając. — Jestem już spokojna, nie troszczę się o przyszłość; mam nawet przeczucie, że pracą naszą zdobędziemy bogactwo wielkie.

— Bogactwo, Hanko, to nie pieniądz, który pozwala nam pędzić życie w zbytkach i wygodach, to nie brylanty, któremi obwiesić się możemy, to nie karety i uprzęże, złotem kapiące, bogactwo, Hanko, to nie możność błyszczenia i wywyższania się nad innych. *Prawdziwe bogactwo*, dziewczeczki moje, to przeświadczenie, żeśmy godnie spełnili wysokie posłannictwo człowieka na ziemi, że życie nasze upłynęło w pracy uczciwej i poświęceniu dla braci, żeśmy nie zmarnowali ani jednego z darów, które Bóg złożył w sercach naszych, Spokój serca i sumienia, jaki wynika z pożytecznie pędzonego żywota, to wielkie i prawdziwe bogactwo człowieka.

— Prawda, wuju, prawda — zawołała Hanka — wracając do swjej zwykłej energii i swobody, a więc do pracy, pozostawimy za sobą wszystko, co minęło. Tolu moja... — lecz nagle urwała, spostrzegłszy, jak z oczu dziewczyny łzy spływały po twarzy.

— Och, to nie — rzekła Tola — nie zważaj na to, Hanko, to nie łzy smutku i bólu, nie, zapewniam cię. — A ocierając oczy chusteczką, dodała — zabierajmy się więc do pracy,

Hanko, budujmy przyszłość naszą, która, oby była dla nas prawdziwem bogactwem.

— Amen — rzekł p. Kazimierz, podnosząc się, a popatrzywszy przez chwilę na dziewczętą, wyszedł z wyrazem spokoju na twarzy.

— Proszę cię, Tolu, złóż tę robotę — mówiła p. Krystyna, wyjmując z rąk dziewczęcia jakiś haft biały — zmierzch już zapada, popsujesz sobie wzrok, który ci nie na dziś tylko potrzebny.

— Taka pilna robota — rzekła Tola, niechętnie zabierając się do złożenia cienkiego batystu — już tylko tydzień mamy do wykończenia wszystkiego, a na słowie stawić się musimy, to rzecz konieczna.

— To też przyjmując robotę, należy sobie zawsze dłuższy czas wymówić, gdyż lepiej wcześniej wykończyć, niż narażać się na niesłowność — rzekła p. Krystyna, pomagając Toli do uporządkowania na małym stoliku, przy którym ta ostatnia pracowała zawsze — Hanka już dawno złożyła swe koronki, chociaż także jest w obawie, czy je wykończy na czas umówiony.

— Prawda, ciociu — rzekła Tola, gdyż tak nazywała p. Krystynę, aby mieć choć pozorny związek z rodziną, do której weszła — ale Hanka, złożywszy koronki, wzięła się do prasowania bielizny, czego mnie nigdy robić nie pozwolicie, a zdaje mi się, że potrafiłabym to tak dobrze, jak i ona.

— Nie ulega wątpliwości, żebyś potrafiła — odpowiedziała p. Krystyna, całując czoło dziewczęcia — ale nie jesteś tak silna i zdrowa, jak Hanka.

— Tolu — zawołała Ewcia, wbiegając do pokoju — babunia prosi cię do sklepu, bo nie może sobie dać rady, tak dużo przyszło naraz ludzi.

(d. c. n.)

Łamigłówa głoskowa (Łania).

J..... Ł..... l... n.. m..... w l.....
 P... m.. B.. s.. f... n.....
 S..... t..... z..... d. k.....
 L... n.. l..... m... p... s..... ś.....
 W... s..... w g... l... s.. k.....
 B. m.... c..... n.. s.... n. m. s....
 W n..... u..... g.....
 G.. m... g.... p.... g... d.....

Łamigłówa zgłoskowa.

(Smok latający dla Sokoła z pod Wawelu).

Z następujących zgłosek: ał—ce—deń—i—le—ło—łow—mi—nie—or—po—ski—sos—taj—wie—ułożyć wyrazy: 1. Miasto w Europie. 2. Przysiówek. 3. Nazwisko malarza polskiego. 4. Przyprawa do potraw. 5. Miejscowość w Galicyi słynna wielkim lasem. 6. Góry z Azji. Początkowe litery z góry do dołu i końcowe w kierunku odwrotnym, utworzą nazwy dwóch pór roku.

Prozy i poezyi

Gdy skowronek nad brudą rodzinną zanuci,
 I bocian klekocący na gniazdo powróci,
 I żórawie w powietrzu przez krzyki radosne
 Głoszą w szacie zielonej wracającą wiosnę;
 Oto jest chwila pracy — niech ją rolnik chwytą;
 Kto pierwszy pola zwiedza, pierwszy wiosnę wita.
 Dalej! dalej na role, korzystajcie z pory,
 Teraz czas krajać w skiby rozkrzepłe ugory,
 Teraz od łąk rowami odprowadzać wodę,
 I w miękkie dzikorośle szczepić różdżki młode;
 Broną albo grabiami rozrzucać usepy,
 Któremi darń zieloną kret poburzył ślepy;
 Natrętne z młodych siewów wyrwać kąkole,
 I wałem albo glazem obwarować pole.

(Wyjątek z poematu „Ziemiaństwo polskie” przez Kajtana Koźmiana).

Łamigłówa zgłoskowej:

a r a
 l a m a
 a g a w a
 h a w a n a
 a n a n a s
 b a r a n
 a j a
 l a k

Otrzymałmy następującą odezwę, którą podajemy czytelnikom, prosząc aby ją uważnie odczytali.

Kolonie letnie dla biednych słabowitych dzieci stały się już jedną z niezbędnych potrzeb, którą społeczeństwo nasze przywykło rokrocznie zaspakajać; świetne rezultaty, jakie otrzymaliśmy z wysyłania chorowitych dzieci na wieś w ciągu ostatnich lat czterech, i które w sprawozdaniach rocznych obszernie opisane były, zachęcają nas do prowadzenia nad tą Instytucyą filantropijną. Ogólne zainteresowanie się i z każdym rokiem rosące poparcie, jakiego doznajemy w usiłowaniach koło podniesienia poziomu zdrowia biednych dziatek, każą nam przypuszczać, iż rok bieżący nie będzie gorszym od poprzednich. Nastanie pięknej pogody przysięgła nam, iż czas już pomyśleć o tegorocznych koloniach letnich; pod jej też wpływem setki nędznych dzieci zwracają ku nam swoje stęsknione oczy i wyciągają do nas błagalnie swoje wychudzone rączki, a wyroku, który ogół o ich losy w tym roku wyda, z niepokojem oczekiwać będą. Że nadzieje tych małych, na których dobrém zdrowiu przyszłość i dobrobyt nasz spoczywa, zawiedzionemi nie będą, że ofiary tegoroczne na ten cel przewyższą wszystkie poprzedzające, o tem nie wątpi nikt, kto zna tkliwe na niedolę ludzką serce naszego społeczeństwa.

Dr. Gustaw Fritsche

Aleja Jerozolimka Nr. 80. Od godziny 3-jej do 4-jej.

TREŚĆ: Księga pamiętnych czynów (z drzew.) — Zmartwychwstanie (wiersz) p. Z. Morawskiej. — Ziemia ognista, przygodni podróżników na morzu i lądzie przez Mayne Reid'a (c. d.) — Przerwane wesele, obrazek dramatyczny w trzech aktach p. M—a. — Druskieniki (z drzew.) — Prawdziwe bogactwo, powieść przez autorkę Reginki (c. d.). — Łamigłówa i rozwiązania. W Dodatku: Prośba chłopczyka wiersz (z drzew.) — Wielkanoc p. Wiochnę z pod Lublina. — Niezgodni królewiec, bajka prawdą przeplatana. — Łamigłówa, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.



Prośba chłopczyka.

PROŚBA CHŁOPCZYKA.

Przyszedł chłopczyk do furteczki,
I powiada grzecznie:

— Bardzo proszę panienczki
Kwiatków dać koniecznie!

— A dla kogo?

— Dla siostrzyczki,

Co lubi kwiateczki,
I fijołki i różyczki,
Chciéj dać choć troszeczki.

— O! i owszem — rzecze dziecie,
Bierz, chłopczyku, kwiatki,
Dla ubogich starczy przecie,
Wedle słów méj matki.

Azet.

WIELKANOC.

Wielkanoc się zbliżała i dzieci państwa N. cieszyły się już na kilka tygodni przedtem na baby i mazurki

święteczne, również na dwutygodniowe wakacje, choć najmłodsza trzyletnia Lucia nie uczyła się jeszcze wcale. Ona to wraz z dziesięcioletnią Aneczką pomagała mamie we wszystkich przygotowaniach na Święta, tłukąc orzechy, obierając z łupinek migdały, a z korzonków rodzynek, i naturalnie, kosztując wszystkiego po troszę, w czém również czynny udział brali dwaj bracia, figlarze, Staś i Romek. W Wielką Sobotę ustawiono całe święcone w jadalnym pokoju, na dużym stole, przykrytym czystym obrusem; na boku stały cztery stoliki z święconém dzieci.

Były tam mazurki różnego gatunku, jajka z cukru i zwyczajne kolorowe „pisankami” zwane, baranki z czerwonymi chorągiewkami, po jednym kurczątku i po butelczce wina; najpiękniej jednakże wyglądały cztery babki, grubo polukrowane, posypane kolorowym makiem, z imionami dzieci na wierzchu i mnóstwem rodzynek i migdałów.

Chłopcy łakomie spoglądali na święcone i pomimo przedstawień Aneczki, gdyby ksiądz dłużej dał czekać na siebie, pewno wszystko byłoby poobskubywane.

Po poświęceniu jadalny pokój zamknięto na klucz

i dopiero nazajutrz rano dzieci dostały swoje stoliczki ze święconem. Mama im przytém powiedziała:

— Zróbcie co wam się podoba z tém wszystkiém, tylko radzę wam nie zjeść odrazu babek; schowajcie je przynajmniej do jutra.

— Dlaczego, mameczko? — spytała ciekawie Lucia.

— Dowiedcie się o tém wkrótce, a teraz nie bądźcie tak ciekawi — odparła mama, wychodząc z pokoju.

— Ciekawym bardzo, dlaczego nie możemy jeść naszych babek? wyglądają tak apetycznie! — zawołał Staś.

— Ja również chętniebym zjadła kawałeczek, ale kiedy mama nam radziła ich nie jeść, to lepiej bądźmy posłuszni — rzekła rozsądna Aneczka.

— Masz słuszność, Anulko — powiedział Romek — więc żeby nie było pokusy, oddamy ci nasze babki do schowania.

— Tak, tak będzie najlepiej — zawołał Staś i Lucia, oddając babki siostrze. Aneczka schowała je do szafy, a dzieci pocieszyły się zupełnie wybornymi mazurkami.

Po obiedzie państwo N. z dziećmi pojechali do pobliskiego miasta, dla odwiedzenia znajomych, tylko Aneczka z powodu lekkiego bólu głowy pozostała w domu.

Z książką w ręku siadła ona przy oknie, wtém usłyszała głośny płacz i podniósłszy oczy, zobaczyła pod oknem małą Marychnę, córkę karbowego, głośno szlochającą.

— Co ci to, Marychno? czego tak płaczesz? — spytała Aneczka, otwierając lufcik.

— Bo proszę pani, matula poszli do stryjni, co siedzą w drugiej wsi, a Kaśka poleciała do somsiadki, i nie dała mi obiadu — odparła dziewczynka smutnie.

— Biedactwo! musisz być bardzo głodna, ale któż jest ta niedobra Kaśka?

— Moja ciotka, ale ona dobra, dałaby mi jeść, ino se psepomniała.

— To też właśnie źle zrobiła, ale poczekaj chwilę, to ci przyniosę co do jedzenia — rzekła Andzia i zamyśliła się bardzo, bo mama wzięła z sobą klucze, więc nie miała co dać małej. — Ach, już wiem! Dam jój moją babkę, wprawdzie mama kazała ją schować, ale nie mogę puścić głodnego dziecka do domu, — to mówiąc wyjęła babkę z szafy i podała ją dziewczynce, która z radości zapomniała nawet o podziękowaniu. Niedługo potem przyjechali rodzice z dwiema kuzynkami Irenką i Anielcią, w których towarzystwie Aneczce zupełnie z głowy wywietrzało całe to zdarzenie.

Na drugi dzień rano mama oznajmiła, że zaprosiła na podwieczorek wszystkie dzieci z sąsiedztwa dla zabawienia Irenki i Anielki, poleciła Aneczce, żeby przygotowała różne gry towarzyskie dla rozrywki małych gości, dopóki nie zaczną tańczyć.

Radość pańienek nie miała granic, ranek wydawał im się nieskończenie długi, pomimo, że wcześniej zjeżdżać się zaczęto.

Dzieci miały osobno nakryty stolik z wielu dobrami rzeczami, gdy już wszyscy siedzieli, mama rzekła do Aneczki:

— Przynies teraz wasze babki i częstujcie każdy swoją małych gości.

Dziewczynka zarumieniła się bardzo i nieśmiało postawiła na stole tylko trzy babki.

— A gdzie twoja? — spytała mama.

Aneczka wiedziała, że dobrym uczynkiem chwalić się nie należy, nic więc nie odpowiedziała, tylko oczki spuściła.

— Jakto, nie powiesz, gdzie się podziała twoja babka? przecież masz kluczyk od szafki, w której była schowana? — zawołała mama bardzo niezadowolona.

— Pewno zjadłaś ją wczoraj, gdy byliśmy w mieście — wtrącił Romek.

— Ach, brzydko, Aneczko, przyznajże się choć teraz — mówiły inne dzieci.

— Zapewniam was, że ja jój nie zjadłam — zawołała dziewczynka i tak się rozpląkała, że mówić dalej nie mogła.

Mama już chciała ją wysłać na cały wieczór do osobnego pokoju, gdy w progu drzwi wchodowych do ogrodu stanęła karbowa z Marychną.

— Czego to chcieliście, moja Adamkowa? — spytała mama.

— A to proszę łaski pani, przyszłam podziękować starszej panience za moją Marychnę — odparła karbowa i pocałowawszy rękę pani N. zwróciła się w stronę Aneczki.

— A za cóż to macie dziękować panience?

— Zaraz powiem jaśnie pani. Wczora poszłam na majdan do brata, a Marychnę ostawiłam w chałupce z moją siostrą Kaśką; dziewczucha, jak to zawdy młode, poszła do kumy i na śmierć przepomniała o dziecku, co się spóźniło na obiad; namarłoby się też głodu biedactwo, żeby nie panienka, co je kole dworu zoczyła i dała jakieś rarytne ciastko — opowiadała kobieta, spoglądając z wdzięcznością na panienkę.

— Ach, Aneczko! to ty dałaś Marychnie swoją babkę, a myśmy cię posądzali o łakomstwo, nie gniewaj się na nas! — wołały dzieci, otaczając ją.

— Przykro mi było, że mi nie ufacie, ale się bynajmniej nie gniewam — odparła uszczęśliwiona Anulka.

— Wiwat! niech żyje nasza Aneczka! — wykrzyknął Staś, podnosząc filiżankę czekolady w górę. — Wiwat! Wiwat! — wołali inni, całując i przepraszając dobrą dziewczynkę.

Wiochna z pod Lublina.

NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANA.

(Dalszy ciąg).

A na to odrzekł królewicz Kryształek, spuściwszy nos na kwintę, że w takim razie musi odjechać, bo już nie może dłużej bawić z dala od swego pałacu, gdzie nań czekają różne ważne sprawy. Prosił więc króla Dobromira, aby mu pozwolił za tydzień przybyć po ostatnią odpowiedź, na co ten chętnie przystał. Królewicz Kryształek z westchnieniem klejnoty porozkładane na stole

pozbięrał i złożył je napowrót do skrzyni, którą kazał wynieść, przywoławszy dworzan. Nie śmiał on narzucać się ze swojemi darami, póki królowna nie była jego narzeczoną. Król Dobromir przetaił oczy, bo go trochę zabolęły od tych rażących blasków. Kryształek oddał mu ukłon głęboki, a w kwadrans potém ozwały się trąbki i król-wicz z całym swoim orszakiem zamek opuścił.

Dobromir odetchnął, usadowił się znów wygodnie w swoim fotelu i zapalił fajeczkę, która zgasła była w czasie rozmowy jego z Kryształkiem. A wtém wbiegł paż i oznajmił, że król-wicz Zielonko o posłuchanie prosi. Król skrzywił się nieznacznie, domyślił się odrazu, co to będzie, żal mu było Zielonki tak samo, jak i Kryształka, ale nie mógł córki wydać za niego, bo i on przecież w niezgodzie żył z braćmi. Lecz nie kłopotał się Dobromir odpowiedzią, nie potrzebował się namyślać, miał sposób gotowy rozprawienia się z król-wiczem, żeby mu i nie odmawiać, i nie przyrzekać. To się nazywa dyplomacya, jest to umiejętność na wszystkich dworach król-wskich znana, używana też była częstokroć taka dyplomacya i na zamku króla Dobromira.

Wszedł tedy król-wicz Zielonko, zawsze po swojemu przybrany w same roślinne wyroby, które są wprawdzie ładne, lecz nie mogą wyglądać okazale. Kilku dworzan niosło za nim dary, prześliczne coprawda, ale niezbyt bogate, zwłaszcza w porównaniu do klejnotów Kryształka. Były to bukiety kwiatów, tak pięknych i osobliwych, że król Dobromir, chociaż miał i ogród wspaniały i cieplarnię, nigdy w życiu nie widział podobnych. Potém kosze owoców, także pysznych, niezwykłych, purpurowych, złocistych, a wszystko to, i kwiaty, i owoce, takie było pachnące, że woń napełniła komnatę króla Dobromira, jakby w niej całe wiadro perfum wylano.

Jak domyślał się Dobromir, i jak czytelnicy zapewne się domyślają, król-wicz Zielonko prosił o rękę królowny Jagódki. Otrzymał takąż samą dyplomatyczną odpowiedź, jak brat jego Kryształek, i tak samo nos spuścił na kwintę, mówiąc, że musi odjechać do swojego pałacu, a za tydzień powróci. Żal mu było widocznie pięknych darów, bo oczywiście musiały się zmarnować; kwiaty wędzną prędko, a owoce prędko się psują. Nawet i król Dobromir z żalem patrzył, na owoce szczególnie, ale nie wypadało przyjmować darów, skoro nie przyrzekł jeszcze córki król-wiczowi. Zabrali więc dworzanie bukiety i kosze z owocami, a gdy odszedł król-wicz Zielonko, Dobromir przywołał paziów i kazał okna pootwierać na oścież, bo chociaż te zapachy były bardzo przyjemne, jednak obawiał się, ażeby go głowa nie rozboleła.

Ledwo ucichły trąby po odjeździe król-wicza Zielonki, a Dobromir świeżą fajeczkę sobie nałożył, gdy znów wpadł paż z oznajmieniem, że król-wicz Pióropuszek o posłuchanie prosi.

— A to świętej cierpliwości potrzeba — rzekł król — jeden po drugim, jak z rejestru. Cóż robić, jak tego się pozbędę, to będzie koniec.

Wszedł król-wicz Pióropuszek, zawsze szeleszczący jedwabiami, powiewający piórami. Za nim dworzanie nleśli dary, poskładali je na stole, na krzesłach, na podłodze, potém wysunęli się w milczeniu. A co to były za dary! jakie piękne i kosztowne! Dobromir tak się

na to wszystko zapatrzył, że nawet skinieniem głowy nie odpowiedział na głęboki ukłon król-wicza, aż mu się wstyd zrobiło, gdy przyszedł do siebie z podziwienia i zachwytu. Była tam najpierw skrzynka z kości słoniowej, wykładana perłową macicą, a w niej klejnoty przepyszne, lecz nie drogie kamienie, nie brylanty, ani rubiny, tylko same perły prześliczne, ogromne, i purpurowe korale. A nie były te klejnoty w złoto oprawne, jak zwykle, tylko i perły i korale na jedwabne nici ponawlekane. Na krzesłach porozwieszali dworzanie najwspanialsze futra, gronostaje, sobole, lisy błękitne, potém materye jedwabne niewidzianej piękności, szale tyfytkowe, a na ziemi porozkładali przepyszne dywany. Na zamku Dobromira nie brakło różnych kosztownych rzeczy, obicia i kobierce były wszędzie ładne i bogate, a królowa Miłostawa na większe uroczystości dworskie ubierała się prawdziwie po król-wsku, lecz takich cudnych materyj, futer i dywanów, niewidziano nigdy na tym dworze.

(d. c. n.)

Łamigłówa kryształowa.

(Od Żubra dla Kalinki).

1. Spółgłoska.
2. Skorupiak.
3. Narzędzie.
4.
5. Wehikuł.
6. Część twarzy.
7. Samogłoska,

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą pseudonym korespondentki „Wieczorów”.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 15-go.

Zadania konikowego:

Kocień garnkowi przygania a sam smoli.

Skrzynka do listów.

Nad rzeką Wieprzem jest gniazdko Jastrzębiąt. Doszły tu do nas wieści o tych ptaszętach, które pomimo swój nazwy nie są podobno wcale drapieżne, tylko troszkę dzikie, bo chociaż „Wieczory“ czytują, na liścik jednak odważyć się nie mogą, a podobno piszą ładnie. Bardzobyśmy radzi zapoznać się bliżej z temi miłutkami Jastrzębiętami.

Zając musi wprzód donieść nam, jak się nazywa i gdzie mieszka, jeśli chce korespondować z naszymi panienkami.

Czeremcha z nad Cetyni nie odgadła żadnej z tajemnic redakcyjnych, i nie dziw, skoro Czeremcha dotąd o tém niewie, co przecież żadną tajemnicą nie jest, że liściki odczytuje i odpisuje na nie kierowniczką Pisemka Zaleska. Aluzye więc wszelkie są dla niej niezrozumiałe i maszą pozostać bez odpowiedzi.

Skoczka będzie miała dalszy ciąg „Obrazów historycznych”, które jęj się tak podobały.

Czeremcha może zmienić pseudonym, ale tamten dawniejszy był tak ładny, że go szkoda. Łamigłówa jedna dobra, ale druga, o Stefanie Batorym, zanałto pospolita, już kilka podobnych

było drukowanych. Autorka „Prawdziwego bogactwa” ucieszy się pewnie serdecznym buziakiem Czeremchy. 20 kop. oddano ubogiemu dziecku.

Szparaga i Marchewkę bardzo chętnie zaliczamy do grona korespondentów. Wierszyk z prozy niezupełnie debrze ułożony, w każdym razie wprawa to bardzo pożyteczna, po kilku próbach pewnie pójdzie lepiej.

Jabłonka z Podola tak ładnie i porządnie pisze, że wcale nie potrzebowała do tego aż odwagi, aby korespondencją rozpocząć. Z wielką przyjemnością zaliczamy ją do stałych korespondentek. Rozwiązania trafne, tylko do swoich łamigłówek kochana Jabłonka zapomniała te rozwiązania dodać, więc choćby i dobre były, trudno je wydrukować.

Biedronka (z Warszawy) trafnie odgadła zadanie konikowe. Niech kochana Biedronka doda coś do swojego pseudonimu lub inny wybierze, bo mamy dawniejszą korespondentkę ze wsi, co się tak samo podpisuje.

Czereśnia jest już dziś kochaną tak samo, jak i inne korespondentki, a za uściśnienie, przesyłamy jej wzajemne, równie serdeczne. Tylko dłuższej odpowiedzi z wielkim żalem odmówić jej musimy dla braku miejsca. Za rubla, z własnych oszczędności przesłanego dla ubogich dzieci, dziękujemy kochanej Czereśni, łamigłówka musi czekać kolei.

Myszka biała musi bardzo kochać Mamę, bo przedewszystkiem o jej przyjemności myśli; za to też i my ją pokochaliśmy odrazu i serdecznie pragniemy, aby stała korespondentką naszą została. Cieszymy się, że powiastka „Babunia” tak się Myszcze podobała. Konwalijka ma lat 10, nazywa się Elżunia.

Kometa jeszcze się nie spóźniła. Pseudonym ten jest rzeczywistości lepszy, bo mniej pospolity. Jakaż to szkoda, że Kometa już w Maju nam się wymyka!

Ada powinna być na to przygotowana, że nie wszystkie nadsyłane powiastki mogą być drukowane; tłómaczone zwłaszcza na nie się nam przydać nie mogą. Ostatnie jednak są dobre.

Poziomka leśna z nad Teterowa niecierpliwie wygląda pewnie odpowiedzi i niespokojna już może o swój liścik, który doszedł w porę, tylko odpowiedź nie może być dana natychmiast, więc prosimy kochanych korespondentów o cierpliwość.

Kamelia różowa tak prędko chce mieć odpowiedź! Ależ to niepodobna, kochana Kamelio, choćbyśmy najserdeczniej chcieli, są różne przeszkody, nie od nas zależące.

Trawka z nad Willi wielką nam sprawiła przyjemność rozsądnym swoim liścikiem. Nie wszystkie panienki w takim razie postępują podobnie, niektóre... ale wolimy o tym nie wspominać.

Głoksynia z nad Przemysy czarnej nieustraszoną jest osobką, skoro tak wielką nieśmiałość przewyciężyć zdołała. Zaliczamy ją za to do grona korespondentek. Malutkiej Małgosi, którą trudno oderwać od Dodatku, serdecznie zasylamy całuska.

Zuzulce z nad Tykicza „Lecturee illustries” zaprenumerowane w księgarni p. Orgelbranda, upomnieliśmy się o wysłanie pierwszych Nrów, które już zapewne doszły.

Potoczek bardzo słusznie powiada, że „nie święci garnki lepią”. Ładnie napisany liścik najlepszym jest tego dowodem. Co do kotów jednak, Potoczek wie już teraz, że nie odgadł. Dwie tylko panienki odgadły, lecz spóźniły się z odpowiedziami.

Skrzydlaty Pegaz nie rozstaje się ze swoim ulubionym rumaikiem; rozwiązanie prozy i poezji dobre, ale zadanie konikowe nie jest według prawideł ułożone, zgłoski powinny nastąpić po sobie w odstępach skoków konika na szachownicy.

Żabce z nad Smotrycza. W łamigłowie nie było omyłki, bo owa czarodziejka nie nazywała się Cerera. Nadesłaną zagadkę wydrukujemy. Lenartowicz mieszka we Włoszech, w Florencji. Rozwiązanie szarady trafne.

Dziuni dziękujemy za wiadomość, że komedycja z „Wieczorów” z takim powodzeniem była odegrana i prosimy, aby doniosła, czy i „Sprytny Walek” tak dobrze się uda. Zagadki musimy sprawdzić przed wydrukowaniem, czy są bez omyłek.

Zawierucha ma bardzo piękną zasadę „mówić to co myśli” i nigdy za to bury od nas nie dostanie. Wszystko zresztą, co myśli Zawierucha i co pisze w swoim liściku, trafia zupełnie do naszego przekonania, szczerze mu radzimy, ażeby zawsze tak myślał, a co więcej i czyny do tych myśli stosował. Rozwiązania trafne.

Kotka Minia powinna by troszkę popracować, i nad kaligrafią i nad pisownią. A może ta Kotka zażartować z nas chciała? bo trudno doprawdy uwierzyć, aby panienka w tym wieku ani jednego prawie wyrazu nie umiała napisać bez omyłki. Jeżeli to nie żarty, to nam tej Kotki żal bardzo i radzimy szczerze, aby się do nauki ojczyściego języka zabrała.

Czajce z nad Bystrzycy nagrodę wysłano w paczce rekomendowanej, lecz ponieważ przy wypracowaniu nie było dokładniejszego adresu, który teraz dopiero Czajka dołączyła, więc pewnie ta paczka leży na poczcie. Prosimy bardzo o wiadomość, czy się odnalazła.

Siekierka może śmiało korespondentką naszą zostać, liścik jest napisany porządnie, bez żadnej omyłki; wcale nie brzydtko, bo czysto i wyraźnie, takie liściki są dla nas bardzo przyjemne.

Pszczołtce litewskiej i siostrzyczce jej Madzi dziękujemy serdecznie w imieniu ubogich dzieci za hojną ofiarę 4 rs. Wszystkie pszczołtki są pracowite, nie dziwimy się też wcale, że i Pszczołtka litewska przy licznych zajęciach rzadko ma czas na pisanie liścików; tém większą nam to przyjemność sprawia, gdy wśród tych godzin, pożyteczną pracą zajętych, znajdzie się chwilka i dla nas. Łamigłówek dla autorki Reginki wydrukujemy.

Chmurka błękitna, o ile sobie przypominamy, nigdy w naszej redakcyi nie doznała niepowodzenia; chyba że Chmurka jakies niewłaściwe znaczenie do tego wyrazu przywiązuje.

Białorusinkę z nad Dźwiny musimy przeprosić za nieuwagę. Do zadania konkursowego z Dodatku tylko dzieci do lat 10 należeć mogą. Białorusinka tak ładnie i porządnie pisze, że może to sobie wynagrodzić przysyłając odpowiedź na inne zadanie dla starszych.

Róża dzika jest już zaliczona do grona stałych korespondentek, nie potrzebuje więc o to prosić. Serdeczna to jakaś i miła Różyczka, bo wszystko co pisze trafia wprost do serca. Co do kaligrafii, szczerze każe wyznać, że literki niesfornie troszkę chyłą się na wszystkie strony, ale żeby tylko Róża dzika chciała przez czas jakiś pisać wolniej i większemi literami, toby sobie prędko pismo poprawiła. Łamigłówki żadnym sposobem nie mogą być tak prędko zamieszczone. Kazio dziękuje za pamięć i ukłony przesyła.

Gajówka z nad Obry zapytuje prześliczną kaligrafią, czy może należeć do grona korespondentek „Wieczorów”. Wszyscy czytelnicy mają do tego prawo, a kochana Gajówka do pożądaných korespondentek będzie zaliczona, bo ładne i wyraźne jej pismo nie zmęczy strudzonych oczu odczytującej.

Prymulce radzibyśmy na początek znajomości dogodzić i wydrukować łamigłówek, ale zapomniała dodać rozwiązania. A może Prymulka coś dowcipniejszego obmyśli, bo czyż warto sobie głowę łamać, aby odgadnąć nazwę ptaka?

Wytrwałość do najmiłszych korespondentek jest zaliczona; odczytując jej liściki poznaje się odrazu, że pisze, co myśli i czuje. Wszyscy mają prawo pisać „Kochana Pani” i są o to najserdeczniej proszeni.

Truskawkę upewniamy, że w liściku omyłek niema, a choćby się jakaś drobna i znalazła, to jest rzecz nieunikniona; gdyby panienki w tym wieku wszystko doskonale umiały, toby się nie potrzebowały uczyć. Bardzo się cieszymy, że kochana ta Truskaweczka po długim milczeniu znów się odezwała z nadejściem wiosenki.

„Kochana Reginko! Widocznie jesteśmь jednego zdania, bo ty pseudonymem, ja w duszy nie przestaję wielbić cnót bohaterki powieści „Reginki”. Wzór to dla kobiety każdego wieku. Napisz mi o sobie. Ja nazywam się Józia, mam lat 12, mieszkam na wsi, mam dwie siostry, całuję cię z serca Czeremcha z nad Cetyni”